

Ziemia Nod

RADOSŁAW
KOBIERSKI



ydawnic
w
ab
two

Ziemia
Nod

. . . w serii ukazały się . . .

Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*

Lidia Amejko *Żyoty świętych osiedlowych*

Andrzej Bart *Rewers*

Joanna Bator *Piaskowa Góra, Chmurdalia*

Dawid Bieńkowski *Nic, Biało-czerwony*

Szymon Bogacz *Koło kwintowe*

Jacek Dehnel *Lala, Rynek w Smyrnie, Balzakiana,*

Fotoplastikon

Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*

Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty, Tarot paryski*

Kabaret metafizyczny, Podręcznik do ludzi, Namiętnik

Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*

Marek Kochan *Plac zabaw*

Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*

Wojciech Kuczok *Gnój, Widmokrąg, Senność,*

Opowieści przebrane

Jarosław Maślanek *Haszyszopenki, Apokalypsis '89*

Daniel Odija *Kronika umarłych*

Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich, Wąż w kaplicy*

Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy, Śmierć czeskiego psa*

Sławomir Shuty *Zwał, Cukier w normie z ekstrabonusem, Ruchy*

Sylwia Siedlecka *Szczeniaki*

Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo, Rebelia*

Żydówek nie obsługujemy

Marek Soból *Mojry*

Wojciech Stamm *Czarna Matka*

Magdalena Tulli *W czerwieni, Sny i kamienie, Tryby, Skaza*

Ziemia
Nod

RADOSŁAW
KOBIEŃSKI

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Hewel przebił skórę, zrobił pierwsze nacięcie, potem jednym ruchem odciął napletek i położył go na srebrnej tacy. Słońce połyskiwało na brzegu naczynia, wydobywało z bladego półmroku fragment ornamentu, tajemnicze litery jakby wyjęte wprost z ognia, niepodobne do tytułów w gazetach, napisów na szyldach i słupach ogłoszeniowych przy Krakowskiej.

Pewność, z jaką Hewel operował izmałem, zadziwiła Zeliga, Hewel był powszechnie znaną i szanowaną osobą w mieście, toteż często pełnił funkcję kwatera i sandaka, jednak bycie świadkiem obrzezania i dokonywanie *brit* to nie to samo, myślał Zelig. On nie podjąłby się obrzezania swojego syna, choć Hewel parokrotnie wspominał, że jest całkiem naturalne, iż robi to ojciec. Nie podjąłby się tego nie tylko z powodu trudności samego zabiegu, ale przede wszystkim ze strachu, jaki powodowała w nim już sama myśl o obrzezaniu.

Zelig mdlał na widok krwi, a mimo to Hewel powierzył mu zaszczytną i odpowiedzialną funkcję sandaka. Hewel wiedział, że jego bratanek, który nigdy nie krył się ze swoimi postępowymi i asymilacyjnymi przekonaniami, był przeciwnikiem obrzezania, ale wiedział też, że ów negatywny stosunek miał źródło w wydarzeniu, którego Zelig nie chciał pamiętać, a któ-

re odcisnęło na nim piętno. I właśnie dlatego, chytrze i przekornie, upatrując w tym szansy uwolnienia Zeliga od lęku – albowiem Hewel zawsze uważał, że lęk zwalczyć można tylko bezpośrednio, konfrontując się z nim – do ważnej roli sandaka wyznaczył właśnie bratanka. Zelig oczywiście mógł odmówić, ale i tu Hewel wykazał przebiegłość – gdyby istniał obowiązek, a nawet prawo, które nakazywałoby bezwarunkowe przyjmowanie roli sandaka czy kwatery, Zelig z pewnością by je złamał, tu jednak nie było przymusu, sprawa dotyczyła dobrej woli, kiedy zaś brakowało presji, Zelig wykazywał godną podziwu uległość.

Obiecywał sobie, że zamknie oczy, będzie przecież obecny podczas ceremonii i to winno wszystkim wystarczyć, ale jednak nie wytrzymał, mimochodem spojrzął na tacę, na której leżał teraz wieczysty ślub Jezui, weksel Jezui przypominający mały zwitek pergaminu, i od razu poczuł mdłości, zimny pot na skroniach, silny ucisk pod przeponą. Odwrócił wzrok w kierunku okna i wziął głęboki wdech.

Hewel święcie wierzył w potęgę imion, z powagą i nabożnością podchodził do wszelkich ceremonii przygotowujących człowieka do odpowiedzialnego i religijnego życia. Jak mawiał, wszystkie te wydarzenia były tylko następstwem pierwszego wyboru – pierwszego i zarazem ostatniego wyboru, którego dokonuje się w imieniu tego, który sam jeszcze nie może wybierać. A cóż mogło być zaszczytnego i wzniosłego w idei okaleczenia człowieka, zastanawiał się Zelig, cóż zaszczytnego kryło się w fakcie, że dorosły człowiek okaleczał własne dziecko, osiem dni po męczarniach narodzin fundował mu kolejną traumę i – co gorsza – naznaczał go, piętnował znakiem, którego nie da się wymazać, na całe życie przekazywał go nieznanym siłom w akcie własności. Tak, obrzezanie do złudzenia przypominało podpisywanie weksla. Niby człowiek był wolny, mógł decydować, mógł – jeśli chciał lub jeśli taką odczuwał konieczność – wybrać nawet innych bogów, ale wszystko w jakiś

tajemniczy sposób odnosiło się do tego pierwszego wydarzenia, nawet odrzucenie było przecież rodzajem potwierdzenia, człowiek wszystkiemu mógł zaprzeczyć, tylko nie temu, że został już zaocznie ofiarowany.

Zelig nie chciał obrazić stryja ani sprowadzić żadnego nieszczęścia na Jeznę, dla którego wystarczającym nieszczęściem było już samo obrzezanie. Nie mógł odmówić. Wpajano mu to od dziecka, od jesziwy: nawet jeśli się inaczej myśli, nawet jeśli nie widzi się w tym żadnego znaku, tylko znamię, nie świętość, ale przekleństwo, należy spełnić godność sandaka, przyjąć na stół ofiarny kolejną niewinność, kolejną ofiarę, której woń jest miła Stwórcy. Tak. Zelig nie miał prawa odmówić.

Kropla krwi ciemniała niczym werniks. Hewel wypił łyk wina i zwilżył ustami ranę. Odessał krew i jednocześnie sprawdził, czy odpływa. Potem splunął na srebrną tacę, na której odcięty napletek kurczył się, sechł, przypominając płatek usmażonej brukselki. Zeligowi drugi raz zrobiło się niedobrze, prawie zasłabł. Pomyślał, że teraz nie ma już odwrotu. Historia znów zatoczyła koło. Do tej pory udawało mu się zagłuszyć wspomnienia. Jedynie w snach tamte wydarzenia powracały, obrazy i twarze przesuwały się przez senne godziny jak w miejskim panoptikum. Na jawie mechanizm wyparcia działał bez zarzutu. Teraz czuł, że wszystko się pruje, rozłazi, pękają szwy, on zaś znów będzie musiał skonfrontować się z tamtym człowiekiem, dawnym sobą, chłopcem ze szkoły Czackiego.

Pierwsze dni wiosny. Bardzo ciepło. Śnieg błyskawicznie topnieje, Wątok niebezpiecznie wzbiera i zaczyna zalewać Nadbrzeżną i Przesmyk. Pod szkołą koledzy zaciągają go do drewnianej przybudówki i siłą zdejmują mu spodnie. Nikt nie wierzy, że Zenio, syn szanowanego dyrektora gimnazjum, wysoki, jasnooki blondyn, który służy do mszy u bernardynów, jest obrzezany. Chcą tylko sprawdzić, odeprzeć niesłuszne podejrzenia, zaprzeczyć coraz częściej pojawiającym się plotkom. Szarpie się, wyrywa, ale nie ma żadnych szans w walce

z pięcioma rówieśnikami. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, że coś tak nieistotnego z punktu widzenia anatomii może go wyróżniać, dlatego też nigdy nie krył się ze swoim obrzezaniem. To właśnie fakt, że się nie krył, nie ubierał w zamkniętej ubikacji, nie brał prysznic osobno, że zachowywał się całkiem naturalnie, odwracał uwagę innych, dlatego nikt wcześniej nie zauważył, że jest obrzezany.

Następne dni spędza w tej samej przybudówce. Promyk światła, padający przez szczelinę między deskami, dzieli jego twarz na dwie części. Jedna jest w całkowitym cieniu. Siedzi na starej, zardzewiałej taczce i krwawi, lepkie dłonie wyciera w spodnie i pęk słomy. Odpoczywa, ale ręce mu drżą z podniecenia, bo udaje się, chwilami skóra z nieznaną wcześniej łatwością poddaje się naciąganiu, i przez moment Zelig znów staje się Zeniem, synem dyrektora gimnazjum, ministrantem u bernardynów.

Teraz już wie, z trudem opanowując mdłości, że obrzezanie to jest nieskończony proces. Rana, która mimo zabliznienia nieustannie się odnawia, jątrzy. Tego się nie widzi, nie czuje, to w niczym nie przeszkadza. W istocie każdy wieczór jest siódmym dniem, ósmym dniem jest każdy poranek, codziennie jest się kimś nie do odróżnienia dla tych, co się odróżniają, i kimś nie do przyjęcia dla tych, którzy nie znoszą różnic. Tak to działa. Jeśli chcesz być taki jak my, dlaczego się z nami poróżniłeś? Czy jesteś przez to lepszy, czujesz się wybrany?

Czy oni tego nie widzą, że jest odwrotnie?

W południowym świetle wirowały drobinki kurzu, pierze z poduszek, cały mikrokosmos z narzut, dywanów, pył zbożowy z młynów Szancera. Galaktyki to przybliżyły się, to oddalały od siebie według niepojętego rytmu. Zdawało się, że to rytm oddechu, ruch, który scala lub rozdziela. Oddycha w pokoju olbrzymie lustro, leniwie falują w nim topole przy ulicy Nadbrzeżnej i ażurowe firanki wyruszają na krótką wędrowkę po komodzie i sekretarzyku.

Mira w sąsiednim pokoju przekręca się na bok i odbiera dziecko z rąk babki. Jest obolała, pocięta, pozszywana. Patrzy na syna. Godzinę wcześniej oddała go matce, która z dumą pełną dostojeństwa zaniósła go do gabinetu Hewla i złożyła na rękach kwatera. Przypomina sobie wielkie rzeźbione krzesło Eliasza z synagogi przy Świętej Anny, szerokie, ze złotymi okuciami, złożonymi kwiatami i z figurami aniołów. Uroczystą ablucję. Kolana Zelig. Tacę z izmałem i zaciskiem w kształcie liry. Do jej łóżka dochodzą jedynie szmery, szelesty i fragmenty recytowanych psalmów.

U bernardynów dzwonią na Anioł Pański. Przy bramie stoją dwie furmanki. W jednej z dębowych beczek, niedomkniętej, Szmul wiezie solone śledzie na plac Rybny. Mdły zapach ryb miesza się z odorem zgnilizny znad Wątku. Zapachy, jak wszystko, toczą nieustanną walkę. W budynku magistratu okna cały czas są zamknięte. Mira ze swojego łóżka widzi jedynie szczyt fasady i iglicę wieży katedralnej. Ta króluje nad całym miastem. Jak rapier, przebija dolne piętra chmur. Pod koniec dnia słońce chowa się gdzieś za Rzędzinem i cień katedry przykrywa niskie kamienice na Kapitulnej i Wałowej.

Nie potrafi się cieszyć. Czuje, jakby jej ciało umierało, nie należało już do niej. Doktor Schwarzmann odwiedza ją codziennie i stara się pocieszać. Mówi sennym głosem i ze wschodnim akcentem. Tłumaczy, że był to jeden z najcięższych porodów w jego praktyce, należy dziękować Bogu, że oboje żyją. Potem nieopatrznie podaje przykłady medycznych interwencji, które mimo zastosowania wszelkich dostępnych środków nie były w stanie uratować noworodków.

– W ostatniej godzinie płód się odwrócił. Gdyby nie to...
– zawiesił głos. – Wolę nawet nie myśleć. Jak tylko odzyska pani siły, proszę gdzieś wyjechać. Koniecznie. Mam przyjaciela w Truskawcu. On się nazywa Jarosz. Jak pani będzie gotowa, da mi pani znać, ja do niego napiszę list w tej sprawie. To wielki, wspaniały kurort. Za kilkadziesiąt złotych bę-

dzie pani mogła popijać sobie słynną naftusię i wypoczywać do woli.

Ale Mira domyśla się, że nie mówią jej całej prawdy. Od wielu miesięcy skarży się na niepokój, miewa silne bóle w podbrzuszu. Z Hewlem nie potrafi już rozmawiać, bo Hewel wszystko sprowadza do hysterii. Kiedy Mira tłumaczy, że nie powinien sam rzezać syna, tylko nająć mohela Fabera, kiedy prosi, żeby dał dziecku na imię Jakow, Hewel niecierpliwie wymachuje rękami, uderza pięścią w dębowe biurko i wyprowadza ją stanowczo z gabinetu.

– Nie panujesz nad sobą, jesteś histeryczką! Powinnaś pojechać do siostry, która w Limanowej już od sześciu tygodni umiera na raka! Powinnaś to zobaczyć, przejrzeć na oczy, bo najwyraźniej nic nie widzisz, niczego nie dostrzegasz, nie rozumiesz tych cudów, w których co dzień uczestniczysz. Nie mogę dziecku dać na imię Jakow, bo twój brat Jakow żyje. Jeżeli dam małemu na imię Jakow, to twój brat Jakow z pewnością umrze... A nawet jeśli nie umrze, to jak on będzie z tym żył?! Pomyślałaś o tym?

– Będą na niego mówić Szyja – chlipie Mira i szurając kapciami, wraca do łóżka.

Tak, nie mówią jej prawdy. Dotyka piersi i brzucha i czuje, że wszystko tam w środku umarło. Na całym ciele pojawiają się żółte plamy, paznokcie łamią się, włosy wypadają całymi garściami. A zęby? Ma nieświeży oddech. Na nic już nie ma wpływu. Ktoś za nią wykonuje wszystkie ruchy, za nią mówi i patrzy jej oczami. Jezuś zaczyna płakać. Mira słyszy dochodzące kwilenie, potem coraz donośniejszy krzyk. Nie zrywa się z łóżka, nie potrafi wstać, obraca tylko ciężką głowę w stronę gabinetu.

Hewel dokładnie umył ręce, a potem długo namydłał kroczę Jezuś. Był skupiony. Każdą czynność wykonywał uważnie, ale Zeligowi wydawało się, że był nieobecny. Jakby się rozdzielił na kilka dusz i tylko jedna z nich brała udział w ceremonii. Ten pusty, nieobecny wzrok, te długie zastygnięcia bez ruchu

naśladowujące skupienie, zaniki pamięci! Gdy z kimś rozmawiał, nigdy nie patrzył w oczy. Hewel kiedyś mu powiedział, że stworzenie człowieka było aktem najdoskonalszym, ale jednocześnie człowiek drugiego człowieka absolutnie ogranicza, zniewala. Sam fakt skupienia na drugim człowieku już jest zniewoleniem.

– Stryj się naczytał Hegla i teraz wszędzie widzi panów i niewolników – perorował Zelig. – A czyż to nie on właśnie krytykował żydostwo za utylitaryzm?

– Staram się widzieć sprawy niejako poza ich własnym biegiem, samą naturę rzeczy. Jeśli nie będziesz umiał oddzielić człowieka od tego, kim on jest, z czym do ciebie przychodzi, nigdy nie osądzisz rzeczy właściwie. Jeśli ty w takiej postawie widzisz Hegla, to dowód, żeś go w ogóle nie pojął.

Teraz więc Zelig pomyślał, że Hewel jest nieobecny, a dopiero później zrozumiał, że w tej nieobecności kryła się całkowita fizyczna obecność. Hewel po prostu dokonywał obrzezania swojego syna poza czasem, poza całą historią obrzezania, niejako z sedna tego rytuału i nie potrafił przyjąć do wiadomości, że w indywidualnym wymiarze obrzezanie zawsze jest czymś innym. Hewel w ogóle nie traktował poważnie pojęcia indywidualnego wymiaru, dla niego wszystko było roztopione w Bogu, a z myślenia o indywidualnym wymiarze rodziło się całe zło.

Było w tym coś monumentalnego, surowego, jakby to sam Awram jego rękami dokonywał *brit*. I nawet w tej chwili Zelig musiał przyznać, że w ostatecznym rozrachunku mógł się mylić, w ostatecznym rozrachunku to on, Zelig, nie zgadzając się, ciągle uwypuklał fakt, że jest Żydem, nie akceptując obrzezania, ciągle podkreślał fakt, że jest obrzezany, nie umiał zamknąć tego rozdziału w swoim życiu, podczas gdy Hewel wszystko zamknął już na samym początku i nie wracał do tego, bo – jak mówił – od tamtego dnia nic już do niego nie należało, a skoro tak, to dlaczego miałyby rościć sobie

prawo do decydowania o czymkolwiek, a przede wszystkim, dlaczego miały się bać? Być może w istocie nie dochodziło tu do żadnego rozdzielania. Od tego dnia Jezua – jak mówił Hewel – miał być określony przez to, czego już nie posiadał, na owym braku budować miał swoją tożsamość. Właśnie dzięki niepełnej cielesności miał się stać kimś w pełni fizycznie określonym, dzięki ograniczeniu – kimś absolutnie wolnym. W rzeczy samej, jak tłumaczył Hewel, dopiero teraz stanowią nierozdzielalną całość.

Hewel przebił skórę, a następnie zrobił pierwsze nacięcie. Zelig widział, jak izmal, nóż ostrzejszy od brzytwy, zagłębia się w skórę i oddziela napletek od reszty ciała. Mira, odwrócona do ściany, ciągle nasłuchiwała. U bernardynów dzwonili na Anioł Pański. Dzieci pod budynkiem magistratu grały w guziki. Szmul leniwie strzelał z bata i odjeżdżał w kierunku placu Rybnego, w miejscu, które on opuścił, tuż pod latarnią, pojawiła się Lichtingerowa, matka Hersza Lichtingera, blachy, rynny, wykończenia, która wracała z warsztatu do domu na Lwowskiej. Szochet Cewi w ubojni na Nadbrzeżnej właśnie podcinał gardło gęsi i w milczeniu wsłuchiwał się w szmer kończącego się życia.

Tego samego 1919 roku w Istowie, między niską i zagrzybioną karczmą a dworem hrabiego de Laveaux, spolszczonego Francuza i zarządcy dóbr Sanguszków, stanęły naprzeciw siebie dwie furmanki. W pierwszej siedziało młode małżeństwo Ettingerów. Jakub – rymarz ze Szczurowej – pracował także jako drwal w lasach pod Gumniskami. Anna, jego żona, urodziła właśnie Hanię. Do małżeństwa z Jakubem wniosła nieduży posag w postaci ośmiu mórg nad rzeką Białą, tuż za miastem.

Jakub nie namyślał się długo i postanowił, że na ziemi stanowiącej małżeński posag, która leżała w pobliżu słynnego cesarskiego traktu, zbuduje karczmę. Nie otrzymał jednak pożyczki, bo polskie banki w ogóle niechętnie dawały kredyty Ży-

dom, a jeśli już, to na taki procent, że od razu można było się powiesić. Pozostawał jeszcze w odwodzie Związek Kredytowy Hirscha. Ale on dawał pieniądze tylko członkom spółdzielni. Plany spełzły na niczym. Z pomocą znajomych cieśli z Gumnisk i Tarnowca Jakub postawił dom i zagrodę dla owiec. Jeszcze nie zakończyli pracy, kiedy konflikt w domu rodzinnym Anny zmusił ich do natychmiastowej przeprowadzki.

Na drugim wozie pełnym dobytku również siedziała młoda para, ale jechała w przeciwną stronę. On młody, niski, ale silny i energiczny, żwawo uwijał się przy wozie, sprawdzał koła, czy nie ma luzu na osiach, rozmasowywał końskie pęciny. Ona była nieco młodsza i szczuplutka. Anna zastanawiała się, jak w ogóle mogła urodzić dziecko. Ettingerowie od razu poznali, że tamci jadą z daleka. Mówili bardzo twardo, z obcym akcentem.

– Pochwalony! – Nieznajomy pozdrowił Jakuba, zdjął czapkę i przedstawił się. Dopiero po chwili zorientował się, że zwraca się do Żyda. – Daleko do Żabna? W mieście nom godali, że bydzie z dziesiyńc wiorst... Kaj my som?

– To połowa drogi dopiero – odrzekł Jakub z naciskiem, domyślając się, o co może pytać nieznajomy. – A ja widzę, że pani z dzieckiem, to lepiej się tu zatrzymać na noc. Dzień jest długi, ale droga męcząca.

– No ja – potwierdził Knapp. – Moja pado ze zmynczynia. Jechalimy coły dzień, koń się ochwacił. – Wskazał na siwka. – Widzicie, jak ciągnie kopyta, musza go rozkuć, i to piorunem.

– Tutaj jest dobry kowal, ja zaprowadzę – zaproponował Jakub. – A za kowalem – dodał – jest stara chałupa. Mieszkał tam kiedyś jeden Żyd, co się powiesił, ale tam jest spokojnie, prześpicie się i jutro rano ruszycie w dalszą drogę.

I Jakub, który nie był nawykły do uprzejmości, wziął go pod rękę i poprowadził w kierunku kuźni. Pokazywał mu stare domy, kościół parafialny i szkołę, którą mieszkańcy wyremontowali wspólnymi siłami. Knapp delikatnie wyswobodził się

z silnego objęcia Jakubowego ramienia. Czuł się niezręcznie, spodziewając się, że Żyd za te wszystkie uprzejmości zażąda zapłaty, ale Jakub o nic nie zamierzał prosić. Sam się sobie dziwił. Z takim trudem przychodziło mu okazywanie sympatii gojom, a co dopiero gojom nieznanym. Zamyślony wrócił pod karczmę, kazał Annie pożegnać się z żoną nieznanego, z którą zdążyła się już poznać, wspólnie ponarzekać, wymienić doświadczenia na temat pociech, świsnął batem i wóz ze zgrzytem osi ruszył w dół, na Zaczarne i Brzozówkę.

– Przyjechali ze Śląska – powiedziała, nie patrząc na Jakuba. Nie mogła się nadziwić, co ludzi popycha do tak dalekich wędrówek. – Czemu tu właśnie? Ona powiedziała, że w Żabnie nikogo nie znają...

– Czasem człowiek czuje taki zew – odparł filozoficznie Jakub. – Nigdzie nie może znaleźć sobie miejsca. Musi być cały czas w drodze. I tylko czeka. Aż przestanie wiać albo umilknie zgiełk w jego duszy. Wtedy będzie wiedział, że je znalazł.

Jakub nawet się nie spodziewał, ile w tej refleksji było prawdy. Kiedy następnego dnia Knapp wyszedł przed dom, zobaczył wielką równinę żółtych ściernisk, łąki soczystych łąk i cienką jak włos wstążkę Brnia. Rzeka, najwyraźniej nie zważając na granice posiadłości kościelnych i hrabiowskich, wiła się przez pola, pastwiska, przepływała nawet przez gaje, wrzynała się głęboko, odsłaniając żyzne warstwy ziemi i kleistą glinę. Poczuł wreszcie ciszę. Usłyszał ją. Zamiast pisków i jazgotu żelastwa – łagodny szum falujących traw, miast regularnych uderzeń kilofów – nieprzerwany trel skowronków i kwękanie czajek, w zastępstwie hałasu kopalnianej windy – bajkowy klekot drabiniastych wozów.

Aż przysiadł na pniu. Tam, skąd pochodził, niebo w kolorze sadzy stykało się z burą ziemią, w powietrzu unosiły się kłęby kurzu i żrących oparów, które dzień i noc opuszczały kominy wielkich hut i kopalń. Drzewa karłowaciały i usychały. Liście, parapety domów, ulice, śnieg – wszystko pokrywały gęste dy-

wany sadzy. Pył węglowy niczym kwas wżerał się w skórę rąk i twarzy. Z roku na rok przybywało ciemnych hałd, kominów i szybów, którymi na dno ziemi posyłano wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy. W ciemnościach, trujących dymach karbidu i metanu, w pyłe, który powoli wypełniał płuca, ludzie kopali tunele, podziemne ulice, całe miasta, wielopoziomowe metropolie. Nie mógł się tam odnaleźć. Nie chodziło o pracę, jej się nie bał. Mozolił się przecież przy samym urobku i przy wózkach, i przy stemplowaniu korytarzy. Ciężkim młotem rozbijał wapienie w kamieniołomach na Zakrzówku i w Wysokiej. Nie, tu chodziło o coś innego, podstawowego. Nic go nie cieszyło. Innym życie wystarczało, jemu nie. Zdawało mu się, że miejsce, a nawet czas, w którym żyje, nie są jego miejscem i czasem, że musiała nastąpić jakaś pomyłka. Myślał, że czas jego życia powinien należeć do kogoś innego, że przestrzeń, która wyznaczała granicę jego bytowania, była za ciasna i zbyt przewidywalna.

Kiedy urodził się Henryk, powziął decyzję, że musi opuścić tamto miejsce. To właśnie narodziny syna upewniły go we wcześniejszych postanowieniach, jakby były długo wyczekiwany znakiem, sygnałem do podjęcia działania. Zapakowali cały dobytek na wóz i ruszyli w drogę. Pieniądże ze sprzedaży ojcowizny mieli przeznaczyć na budowę nowego domu. Tam, gdzie im wypadnie żyć. Tak powiedział swojej żonie: „Będę wiedział, że to jest to miejsce”.

Ale długo nie wiedział. Od kwietnia 1918 roku do końca września 1919 przemierzyli całą południowo-wschodnią Polskę. Spali, gdzie popadnie, u Żydów, Łemków i Cyganów. W stodołach, na strychach, najczęściej w lesie. Wszędzie czegoś brakowało albo czegoś było za dużo.

I wreszcie stało się. Kiedy Knapp podniósł się z podłogi w starej chałupie, którą mu wskazał Jakub, pchnął zmurszałe drzwi i popatrzył wokół na pola, a potem na wieżę kościoła, nagle coś w nim zaskoczyło. W jednej chwili zrozumiał, że

tego właśnie oczekiwał, tego szukał. Wszystko pasowało, każdy szczegół zgadzał się z jego wyobrazeniami. Dom miał stać dokładnie w tym miejscu, za nim powinno rozciągać się pole, na południowym zachodzie miała wznosić się wieża kościoła. We śnie czy też na jawie widział żuraw na środku zagrody i wyschniętą studnię. Podeszedł i sprawdził. Chwycił ramię żurawia, nacisnął i przywiązał do słupka. Wyciągnął puste, zardzewiałe wiadro. Rzucił kamień i odpowiedziało mu głuche echo. Wiedział już, że nie opuści tego miejsca. I tego samego ranka oznajmił to żonie.

Tak mogły wyglądać jego ostatnie chwile: był chłodny dzień, wiatr przynosił od strony morza wilgotne i zimne powietrze. Generał leżał opatulony w przepoconą pościel i wysłużony koc. Gorączka, mimo zażywania chininy, nie ustępowała. Po kilku dniach skóra na rękach i twarzy generała pomarszczyła się i pożółkła jak stary pergamin. Targały nim na przemian mdłości i dreszcze. Nie poddawał się, próbował siadać, rozmawiać, ale doktor Kalazdy stanowczo tego zabronił. Nad ranem dotarła spóźniona wiadomość o śmierci Prądzyńskiego, pod którego komendą służył w bitwie pod Iganiami jeszcze jako major. Prądzyński podobno przebywał na kuracji na wyspie Helgoland. Utopił się podczas kąpieli...

Kiedy generał zamykał oczy, zdawało mu się, że tragarze niosą go w lektyce. Cienkie zasłony unosiły się nad postaniem, targane suchym wiatrem. Wokoło płonęła pustynia, powietrze gęstniało od żaru, biel piasku jaśniejsza była od płynnego ołowiu. Potem, może dla kontrastu, przypominał sobie lata dziecięce. Skrzący się w słońcu bruk tarnowskiego Burku, czapy śniegu pokrywające stragany, dzwony z kościoła Bernardynów. Wątek podobny był do prehistorycznego węża, który utkwiał w szczelinie między skałami. Wił się, syczał, kilka razy do roku zostawiał na nadbrzeżu węzową skórę w postaci przym śmieci i czarnego szlamu. Aromat jodeł i świerków na ryn-

ku, słodki do omdlenia zapach kapusty z grochem w sieniach kamienic.

Cały jego świat dawał się teraz zamknąć w drewnianym kufrze, w którym przechowywał wełniane rękawiczki, srebrny medalion z podobizną matki, kałamarz z zielonego aptecznego szkła i sfatygowany zeszyt, w którym prócz codziennych relacji zapisywał wydatki. Zapiski kończyły się na drugim grudnia 1850 roku. Trzy dni później nie miał już siły podnieść ręki. Na piersiach czuł ciężar, oddech stawał się coraz płytszy.

Gdyby wcześniej zareagował na zalecenia Kalazdyego – a tego starego Węgra intuicja rzadko kiedy zawodziła – i poddał się leczeniu, systematycznie przyjmował medykamenty, byłyby szanse na wyzdrowienie, ale sprawę zbagatelizował. Uważał, że wojskowemu nie wypada zajmować się takimi błahostkami jak własne ciało. Tylko ludzie zniewieściali rozczulają się nad swoimi przypadłościami, celebрую własne niemoce. Kalazdy oczywiście miał rację, kiedy w jego osłabieniu i melancholii, w podwyższonej temperaturze dopatrywał się symptomów poważniejszej choroby, przypuszczał nawet, że to mogą być początki febry azjatyckiej, ale generał reagował stanowczo i uznawał te wszystkie domniemania za objaw przesady, jeśli nie hysterii.

Czyż nie był szaleńcem? Skoro jak inni uwierzył, że o sprawę narodową można bić się na antypodach? Czy człowiek o zdrowych zmysłach mógł być jednocześnie masonem, carskim więźniem, naukowcem, bohaterem węgierskiego powstania Kossutha, wreszcie Murad Paszą, kiedy dla sprawy narodowej przeszedł na islam? Czy to nie za dużo jak na jedno, ograniczone przecież, istnienie? Czy wreszcie zdawał sobie sprawę, że istnienie pewnego państwa w Europie Środkowej zależało na przykład od surowego wychowania Mikołaja, bezdzietności Fryderyka, złej krwi płynącej w żyłach Habsburgów po latach kazirodczych małżeństw? Czy przechadzając się po wąskich i zacienionych uliczkach Aleppo, które tak bardzo przypomi-

nały Wekslarską, Zakątną i Krótką, powątpiewał w sens wysiłków, strategii, dyplomacji, czy prześladowały go trupy żołnierzy poległych pod Iganiami, Ostrołęką, Temesvárem?

Amek, stary przyjaciel Arab, przyniósł dwie konchy ciepłej wody, rozpoczął ablucje zmarłego od głowy w dół. Wraz z towarzyszymi przewrócili generała na prawy bok i plecy. Amek cicho recytował surę trzydziestą szóstą, potem ostrożnie zawinął ciało w dwa lniane płótna i położył na drewnianych noszach. Do meczetu było około dziesięć minut drogi. Minęli łaźnie An-Nasri i zagłębili się w labirynt wąskich uliczek i dziedzińców, na których niegdyś zatrzymywały się karawany. Teraz były tu pustki, wiatr wywiewał piasek i przesypywał go z kąta w kąt jak w klepsydrze. Na schodach siedzieli Ormianie o spalonych twarzach. Imam stanął za noszami, odwrócił się na południe, w kierunku Mekki i długo modlił w milczeniu. Potem wszyscy usłyszeli dwa razy powtórzone *Alsalamu alejkum la rahmatu Allah*. Dół miał dwa metry głębokości. Ziemia płonęła, czerwona jak hematyt.

Wagon, w którym spoczywało ciało generała, tonął w kwiatkach. Ludzie zdejmowali czapki z głów, stojąc w milczących szpalerach. Tak było na wszystkich stacjach, począwszy od Dżebel al Islam na skraju dalekiej Pustyni Syryjskiej, w Turcji i Budapeszcie, aż do samego Krakowa. Węgrzy z rzewnością witali swojego Bem Apo, Ojczulka Bema, który z jednakową, zdawałoby się, nonszalancją wysyłał huzarów do ataku i szpicrutą walczył z wojskiem carskim o armatę, surowo karał za najmniejszą niesubordynację i z miną komika poddawał się w lazarecie amputacji palca.

Oczywiście musieli wiedzieć, że generał przede wszystkim walczy o sprawę, a dopiero w następnej kolejności o niepodległość Węgier, to sprawa narodowa, a dopiero później konieczność stłumienia arabskiego buntu najemników pcha go na flanki cytadeli Kalat Halab. Wszędzie, od Borodino począwszy, na Siedmiogrodzie i Syrii kończąc, generał angażuje

się do granic możliwości, toteż wiedeńczycy są przekonani, że walczy o rewolucyjny Wiedeń, Węgrzy myślą, że o Węgry, Turcy – że o świetność otomańskiej spuścizny. W rzeczy samej jedyną bitwą, która nie miała żadnego znaczenia dla sprawy była ta ostatnia, z malarią.

Ach, te pokrętne sprawy dynastyczne Europy! Animozje, walki o wpływy, bliskie i bardzo odległe powiązania. Carskie Sioła, pruskie i habsburskie dwory, przedwczesne i nieuprawnione ambicje wojskowe króla Karola Alberta! Czy Fryderykowi IV naprawdę chodziło o zwierzchność nad narodem niemieckim? Czy może był to kaprys jego żony, Elżbiety Bawarskiej, zmęczonej nieudanymi próbami zostania matką? A pazerność Ludwika Filipa? Chorobliwa wręcz podejrzliwość Habsburgów, którzy poprzez wykwintne małżeństwa w Hiszpanii, Sardynii i z ostatnimi z rodu bawarskich Wittelsbachów próbują zabezpieczyć tyły, flanki i wrota wiedeńskiej twierdzy. Czyż von Metternich, genialny doradca Franciszka Józefa i dysydent, nie grzmiał na kongresie wiedeńskim: „Trzeba unieszkodliwić bezecny spiszek, który od pół wieku pracuje nieustannie nad obaleniem istniejącego porządku i tronów”? A co począć z tajemną rolą Feliksa Schwarzenberga, który zniedołężniałego cesarza Ferdynanda namawia do abdykacji na rzecz bratanka?

Historia jest w rękach szaleńców, którzy w wolnych chwilach, pomiędzy aperitifem a kolacją, przestawiają granice państw, wytyczają nowe szlaki handlowe, zmieniają koryta rzek, przerzucają mniejszości narodowe z miejsca na miejsce i w nigdy niegasnącym zdziwieniu przyglądają się efektom. Wykorzystują pionki: Dimitrijevicia, Principa, Dubicza, Radetzkiego i w końcu Bema, których talenty jak meteory potrzebne im są na krótką chwilę do rozwiania południowej nudy. A po latach wysyłają przedstawicieli władz, konsulów, ambasadorów, aby z pełnymi honorami uczcili ekshumacje i pogrzeby na ziemiach ojczyстых.

Na przyjęcie prochów Bema Tarnów szykował się od wielu miesięcy. I oto trzydziestego czerwca 1929 roku generał miał wreszcie spocząć pośród lilii wodnych w mauzoleum w parku Strzeleckim. Można było się spierać o kształt polityki, strategię, o ów najbardziej rażący dla rodaków wybór, jakim było przejście na islam, ale jego wielkość w nikim nie budziła wątpliwości.

Słońce bezceremonialnie oświetlało fronton dworca i przez okno wpadało na posadzkę westybulu. Lekkie podmuchy wiatru poruszały zielonymi festonami zwisającymi z okapów peronu pierwszego i na placu przed budynkiem dworca. Laweta zaprzężona w dwa białe konie minęła orkiestrę 16. pułku i zatrzymała się przy oszklonym wejściu do westybulu. Tuż po dziesiątej huknęły działa dywizji artylerii konnej, która stacjonowała na Hucie. Dwadzieścia jeden wystrzałów. Odgłos salw niósł się ulicą Krakowską, drżały szyby na Bandrowskiego, z drzew na Plantach Kolejowych zerwały się szpaki, okrążyły kopułę dworca i zniknęły za kominami browaru. Za kompanią honorową szyki wyrównywali żołnierze dywizji konnej, harcerze, członkowie Bractwa Kurkowego i reszta oficjalnych delegacji.

Pociąg z Krakowa mozolnie wtoczył się na rampę kolejową. Na torach zaroilo się od wojskowych, kolejarzy, fotografów, reporterów. Błyskały flesze, buchała para, przez którą, jak przez mgłę, przedzierali się dziennikarze i pracownicy pobliskich warsztatów. Z westybulu dochodziły okrzyki komentatora krakowskiego radia. Delegacja pod przewodnictwem pułkownika Przedzrymirskiego oficjalnie przekazała trumnę ze szczątkami generała stronie polskiej. Kogóż tam nie było – wojewoda Kwaśniewski, generałowie Romer i Balas, który miał później wygłosić przemówienie przy bramie triumfalnej pod kościołem Misjonarzy, oficerowie francuscy i delegacja turecka, cały magistrat wraz z ustępującym burmistrzem Kryplewskim.

Orkiestra zagrała *Warszawiankę*, a laweta z trumną dostojnie ruszyła w kierunku Krakowskiej, jak największym łukiem omijając zbutwiały parkan okalający nieużytki Sanguszki. Już na placu Kościuszki stały tłumy, wydawało się, jakby z góry Krakowskiej kaskadami spadała rwąca rzeka ludzkich ciał, która wytracała impet w bocznych ulicach: na Chyszowskiej, Nowym Świecie, Urszulańskiej i Staszica. Powiewały flagi, proporce, damskie parasolki, sztandary stowarzyszeń, cechów i szkół. Witryny sklepu korzennego, artykułów aptecznych Bracha, kawiarni Skolimowskiego, drogerii Swarowskiego, krawców, cukierni, kwiaciarni, okna budynku starostwa tonęły w biało-czerwonych barwach i podobiznach Bema, który melancholijnie, acz dumnie spoglądał na miasto.

Z balkonów i tarasów spływały kaskady kwiatów, peonie i pelargonie, mięsisty bukszpan, gałązki jodeł i świerków o rześkim i żywicznym zapachu. I wśród tego przepychu kolorów i ornamentów, dywanów zwieszających się z okien kamienic, stały wielopokoleniowe familie, nawet ledwo tolerowani zazwyczaj lokatorzy z poddaszy i suterren. A dźwięki muzyki z dętego instrumentarium orkiestr? Dźwięki katarynek i skrzypiec, wypełniające zawilgocone podwórka Rzędzina i dzielnicy żydowskiej? Czyż one nie miały swojego udziału w odświętności tego dnia?

Wielkie święto osiągnęło apogeum w Rynku. To tutaj biło źródło owej rzeki istnień, stąd nierównymi falami rozlewała się ona w dół, w stronę Lwowskiej i Burku, placu Mickiewicza i Krakowskiej, tutaj też na lawetę z trumną generała sypał się grad róż, lewkonii, goździków, a nawet kamelii, lekko jak pierze opadały girlandy bibuły i kolorowego konfetti. Śmierć Bema w dalekim kraju nie zmieniła historii, ale ludzie dobrze pamiętali, że to właśnie ich miasto pierwsze odzyskało wolność w 1918 roku. Wszyscy wtedy czekali na znaki. Dunajec spłynął krwią, kiedy przeprawiano rannych z bitwy pod Łowczówkiem. Potem nastąpiło posiedzenie rady pod przewod-

nictwem Tertila, który władzę w mieście oddawał Radzie Regecyjnej, nic nie wiedząc, że za kilka godzin Kasper Ciołkosz ze swoimi harcerzami będzie rozbrajał Austriaków na dworcu kolejowym, a reszty dokona 20. pułk piechoty.

Kondukt z placu Kazimierza wjechał na Wałową, a potem w zacienioną ulicę Piłsudskiego, tuż obok pomnika Szujskiego, przy którym ustawił się poczet sztandarowy pierwszego gimnazjum. Z okien seminarium wyglądali klerycy i alumni, rozdzwonił się dzwon w kościele Filipinów. Tymczasem zachodnia część miasta całkiem opustoszała. Pozostały tylko sterty bibuły, fragmenty gazet, rozdeptane kwiaty. Nad podium na pierwszym peronie zwiślały fantastyczne arabeski liści, które niczym dzikie wino oplatały słupy wiaty. Mimo ciszy ptaki jeszcze długo nie wracały na Planty Kolejowe. Wydawało się, że świat flory za chwilę dokona aneksji, połknie peron, a potem żarłocznie rzuci się na miasto. A może świata ludzkiego już nie było, tylko jego historia jak zacięta płyta w gramofonie nieustannie się odtwarzała pośród rozrastającej się wokół dzikiej puszczy?

Istowo niegdyś miało coś z surowego krajobrazu północy. Ziemia były mało urodzajne i piaszczyste. W leśnych ostępach produkowano węgiel drzewny, smołę i dziegieć, w dymarkach przetapiano rudę. W miesiącach wiosennych wieś spowijały gęste mgły, spowodowane wysokim przyrostem temperatur, które podnosiły się dopiero w późnych godzinach południowych. Nikt tu już jednak nie pamiętał gęstych borów, pozostały po nich marne relikty w postaci rozrzuconych na chybił trafił kęp, zagajników i brzezin i to one jedynie ratowały tę ziemię przed zupełną monotonią.

Wieś leżała na niewielkim wzgórzu, które łagodnie opadało w kierunku północnym ku Woli Breńskiej i Kobierzynowi, i dalej – w stronę Dąbrowy Tarnowskiej, a od południa ku Zaczarniu, Brzozówce i Krzyżowi, który leżał tuż za przedmieścia-

mi Tarnowa. Od północnego zachodu opływały Istowo wody Brnia i Żabnicy, od południowego wschodu dorzecze Wisłoki. Dwie wielkie rzeki: Biała i Dunajec, szerokim łukiem omijały wieś, dlatego ludzie nigdy nie musieli tu walczyć ze skutkami powodzi, a jedynie z lokalnym, okresowym występowaniem z brzegów spokojnego Brnia.

Osiem kilometrów, które dzieli Tarnów od Istowa, Paweł Borowicz pokonał w ciągu dwudziestu kilku minut. Popuścił lejce i bezlitośnie smagał nimi spocony grzbiet konia. Po kolejnych nieudanych zbiorach i stratach, jakie spowodowały deszcze, jego gospodarstwo mogła uratować tylko pożyczka. Hrabia de Laveaux, właściciel większości dóbr w Istowie, odmówił mu. Brat Pawła, Ludwik, który prowadził w Tarnowie sklep mięsny, wykręcił się planowaniem nowej inwestycji, a w Towarzystwie Kredytowym odprawiono go z kwitkiem. Pędził wyboistą drogą na złamanie karku, jakby chciał wyprzedzić czas, odwrócić tak niekorzystny dla siebie bieg wydarzeń.

Paweł wjechał w roгатki Istowa, minął karczmy i na wysokości kapliczki świętego Floriana, która stała przy wjeździe do hrabiowskiego dworu, skręcił w przeciwną stronę, na Zagumnie. Wyprzągł konia i zaprowadził do stajni. Antoniny nie było w izbie. Musiała wyjść tylko na chwilę, bo zostawiła kaszę z ziemniakami na piecu. Przemieszał, choć pomagać przy kuchni nie miał w zwyczaju. Próbował zebrać myśli. Do końca roku pozostało mu do odpracowania u hrabiego kilkanaście dni. Gdyby udało się przełożyć terminy, mógłby zasiał tatarkę, postawić barcie i sprzedawać miód. Może ozime? Krów za nic w świecie nie sprzeda. Naturalnie, trzeba bez zwłoki wymówić służącej. Liczył, oceniał i wyceniał, tak że nie zauważył nawet wejścia Tosi.

– Już wróciłeś? – Stała w drzwiach zdziwiona i założyła fartuch. Ale Paweł nie odpowiadał. Małym kopiaowym ołówkiem zapisywał coś na karteluszkę, który wyjął z kieszeni kamizelki. Zajrzała mu przez ramię. Jeden słupek nad drugim. Rzędy cyfr:

zera, siódemki, dwójki, czwórki, sumy, różnice. I to one miały objaśniać ich życie? Czy te groźnie wyglądające równania mówiły cokolwiek o ich przyszłości?

– Muszę sprzedać ziemię – rzekł po dłuższej chwili milczenia.

Nie powiedział „musimy sprzedać ziemię”, tylko że on musi, jakby ziemia była tylko jego własnością, a ewentualne zyski ze sprzedaży były wyłącznie jego zasługą. Tosia nie spodziewała się, że Paweł przyzna się do błędów i weźmie odpowiedzialność za straty, które owe błędy spowodowały, pomyślała tylko, że powinien w tej decyzji uwzględnić jej zdanie. Jeżeli nie miał zamiaru się jej radzić, mógł przynajmniej zauważyć, że jest obecna. Fakt, że całą ziemię wniosła w posagu, tracił znaczenie.

W kuchni zapanowała jeszcze głębsza cisza. Słysząc było dopalający się żar, odgłos owadów, które tłukły się o szybę w sąsiedniej izbie. Tosia siedziała naprzeciw Pawła. Nie śmiała protestować.

– To tylko cztery staje – dodał po chwili, jakby chciał się usprawiedliwić.

Woda ciągle stała na polach. Konie grzęzły w gęstej mazi po pęczyny. Ziemniaki zgniły, zboże położyło się i zzieleniało. Pięcioro dzieci na utrzymaniu, najstarsza na wydaniu, reszta albo w gimnazjach, albo w szkole powszechnej. Skąd na to wszystko wziąć pieniądze? Ostatecznie w grę wchodziła jeszcze dzierżawa, ale z tego nie byłoby większych zysków. I co najważniejsze: czekać trzeba by było do następnego lata, do zbiorów.

– Masz rację – niby bez wahania zgodziła się Tosia. – Koło Woli jest akurat trochę ugoru. I ziemia lichsza.

Paweł przerwał liczenie i powoli uniósł głowę znad rachunków. Umiał docenić uległość Tośki. Jakaż ona jest piękna w takich chwilach, myślał. Cicha i wyrozumiała. On ciągle niespokojny, wciąż czegoś szukał.

W ciszy brali ślub, w ciszy sprzątała obejście, gotowała na wielkim piecu, w ciszy cierpiała, w końcu w absolutnym milczeniu rodziła dzieci. Nie pożałowała się nawet, nie westchnęła. Także kiedy się kochali, całe jej ciało było poddane i milczące. Nie, nie była oziębła. Wprost przeciwnie. W nieczęstych przecież chwilach intymności oddawała siebie bezgranicznie, a jednak w jakiś tajemniczy sposób tą uległością dominowała nad Pawłem. Gdyby starała się negować jego władzę i pozycję, prowokowałyby go do władczych działań, tymczasem właśnie jej wrodzona bierność i zaufanie onieśmiały pana i władcę i oddawały go całkowicie pod jej kontrolę. Paweł ulegał tym macierzyńskim rytuałom, ponieważ, jak każdy mężczyzna, który został wychowany surowo, odczuwał brak czułości i nie do końca godził się na rolę, której się podjął, mimo że na każdym kroku podkreślał, że jest panem, surowym ojcem i głową rodziny.

Nigdy jej nie powiedział, że jest piękna, że ją kocha, właśnie dlatego, że było to niezgodne z rolą, jakiej się podjął. Nawet Marcinowi Jurowi, ojcu Tosi, nie powiedział, że kocha jego jedyną córkę, tylko że mają się ku sobie od dawna, od niepamiętnych czasów ciągnie ich do siebie, więc ślub byłby naturalnym zwieńczeniem ich wieloletnich skłonności. Poza tym Paweł nie był – jak to się mówiło – w ciemną bitę. Doskonale wiedział, że Jurowie mają jedynaczkę i kilkanaście hektarów ziemi ornej, która leży odłogiem. Tekla, żona Marcina, nie mogła więcej rodzić. Niby z medycznego punktu widzenia nie było żadnych przeszkód, ba, lekarz nazywał ją okazem zdrowia i zapowiadał liczne potomstwo, ale mimo starań Tekla nie zaszła więcej w ciążę. Próbowali wielu metod, Tekla dawała na mszę i zażywała jakieś drogie a nieprzydatne specyfiki. Potem były już tylko napary z ziół, zabobony, cegły pod łóżkiem, stawanie na głowie. Żadnych rezultatów. Z czasem Jurowie pogodzili się z wyrokiem. A ziemi było sporo. Od Zagumnia i drogi na Dąbrowę Tarnowską aż do Woli. Pola, łąki i jeszcze kawał lasu.

Redaktor serii: Dariusz Sośnicki
Redakcja: Agnieszka Pokojaska, Marianna Sokołowska
Korekta: Magdalena Stajewska, Dominik Wódcz
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Filipowicz, www.360stopni.com.pl
Fotografia na I stronie okładki: Radosław Kobierski
Fotografia autora: z archiwum prywatnego

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Uspiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: **manufaktura**

ISBN 978-83-7747-245-3



Chciałem napisać powieść o śmietniku Historii. Pokazać bezwolne istoty, które podlegają – jak pisał Tadeusz Kantor – przepływowi życia w najczystszej jego postaci. Ale okazało się, że te ludzkie atrapy potrafią czuć. I potrafią dokonywać wyborów wbrew siłom, których wielkości nie rozumieją. W sytuacji kiedy wszystkie karty zostały już rozdane.

Radosław Kobierski (ur. 1971) – poeta, prozaik, fotografik. Autor tomów poetyckich, zbioru opowiadań *Wiek rębny* (2000) oraz powieści *Harar* (W.A.B. 2005). Za tom wierszy *Lacrimosa* (2008) nominowany do Nagrody Literackiej „Gdynia”. Publikował m.in. w „Akencie”, „Czasie Kultury” i „Twórczości”. Jego wiersze i prozę tłumaczono na angielski, włoski, niemiecki, chorwacki, węgierski. Mieszka w Chorzowie.